



KSIĄŻKA
DOSTĘPNA W
AUDIOBOOKU

MIKLÓS NYISZLI

Byłem asystentem doktora Mengele

WSPOMNIENIA LEKARZA Z OŚWIECIMIA

błysk

Byłem asystentem doktora Mengele

Miklós Nyiszli

Przekład na język polski

Dawid Wojnar

Tytuł oryginału: Orvos voltam Auschwitzban

Wydawca: Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.

Przekład na język polski: Dawid Wojnar

Korekta i redakcja: Dorota Sosulska

Copyright 2026 © for this edition by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.

Copyright 2026 © for this translation by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.

ISBN 9788368676730

Cieszyn 2026

Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.

Ul. Hieronima Przepilińskiego 6

43-400 Cieszyn

NIP: 5242959559

e-mail: wydawnictwo@wydawnictwoblysk.pl

www: wydawnictwoblysk.pl

Książka dostępna również w formie audiobooka.

błysk

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Oświadczenie

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

Epilog

Wydawca poleca

***Do mojej żony i córki —
wróciłem z obozu śmierci***

OŚWIADCZENIE

Ja, niżej podpisany dr Miklos Nyiszli, lekarz, były więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, oświadczam, że niniejsza praca, opisująca najmroczniejsze dni w historii ludzkości, została sporządzona przeze mnie w ścisłej zgodzie z rzeczywistością i bez najmniejszej przesady, jako naoczny świadek i mimowolny uczestnik pracy w krematoriach Auschwitz, w których ogniu zniknęły miliony ojców, matek i dzieci.

Jako ordynator krematoriów w Auschwitz sporządziłem liczne protokoły sekcyjne i medyczno-sądowe, które podpisywałem własnym numerem tatuażu. Dokumenty te, kontrasygnowane przez mojego przełożonego, dr. Mengele, wysyłałem pocztą na adres „Institut für Rassenbiologische und Anthropologische Forschungen” w Berlinie-Dahlem, jednego z najbardziej renomowanych ośrodków medycznych III Rzeszy. Powinno być możliwe odnalezienie ich do dziś w archiwach tego instytutu badawczego.

Pisząc tę pracę, nie dążę do żadnego sukcesu literackiego. Kiedy przeżywałem te okropności, które przekraczały wszelkie wyobrażenia, nie byłem pisarzem, lecz lekarzem. Dzisiaj, opowiadając o nich, piszę nie jako reporter, lecz jako lekarz.

Sporządzono w Oradei-Nagyvarad, marca 1946 r.

Podpisano:
Dr Miklos Nyiszli

I

Maj 1944 r. W każdym z zamkniętych wagonów bydłych stłoczono dziewięćdziesiąt osób. Smród z wiader na mocz, które były tak pełne, aż się przelewały, sprawiał, że powietrze było nie do zniesienia.

Pociąg z deportowanymi. Przez cztery dni czterdzieści identycznych wagonów jechało bez końca, najpierw przez Słowację, potem przez terytorium Rządu Centralnego, wioząc nas w nieznane miejsce. Byliśmy częścią pierwszej grupy ponad miliona węgierskich Żydów skazanych na śmierć.

Zostawiając Tatry za sobą, minęliśmy stacje w Lublinie i Krakowie. Podczas wojny te dwa miasta służyły jako obozy przegrupowania – a dokładniej jako obozy zagłady – ponieważ to właśnie tutaj gromadzono wszystkich antynazistów z Europy i selekcjonowano ich do eksterminacji.

Zaledwie godzinę po opuszczeniu Krakowa pociąg zatrzymał się przed jakąś ważniejszą stacją. Napisy gotyckimi literami głosiły: „Auschwitz” – miejsce, które nic nam nie mówiło, bo nigdy o nim nie słyszeliśmy.

Zagłądając przez szczelinę z boku wagonu, zauważyłem niezwykle ruch wokół pociągu. Oddziały SS, które dotychczas nam towarzyszyły, zostały zastąpione przez inne. Konduktorzy opuścili pociąg. Z przypadkowych fragmentów rozmów, które usłyszałem, wywnioskowałem, że zbliżamy się do końca naszej podróży.

Szybko ruszyliśmy dalej, a jakieś dwadzieścia minut później zatrzymaliśmy się przy długim, przenikliwym gwiździe lokomotywy. Przez szczelinę dostrzegłem teren przypominający pustynię: ziemia była żółtawą gliną, podobną do tej ze wschodniego Śląska, tu i ówdzie przerywaną zielonym gąszczem drzew. Betonowe słupy rozciągały się równymi rzędami aż po horyzont, a między nimi od góry do dołu rozpięto drut kolczasty. Znaki ostrzegały, że druty są pod napięciem. Wewnątrz ogromnych kwadratów ograniczonych przez słupy stały setki baraków, pokrytych zieloną papą i ułożonych tak, by tworzyły długą, prostokątną sieć ulic, jak okiem sięgnąć. W obozie

poruszały się postacie więźniów, ubrane w podarte pasiaste płótno. Niektórzy nieśli deski, inni dzierżyli kilofy i łopaty, a jeszcze dalej inni ładowali grube pnie na tyły czekających ciężarówek.

Ogrodzenie z drutu kolczastego przerywały co trzydzieści lub czterdzieści metrów podwyższone wieże strażnicze, w każdej z nich stał strażnik SS oparty o karabin maszynowy zamontowany na trójnogu. To był więc obóz koncentracyjny Auschwitz, lub, według Niemców, którzy lubią wszystko skracać, KZ, wymawiane „Katzet”. Nie był to, delikatnie mówiąc, zbyt budzący widok, ale w tej chwili nasza rozbudzona ciekawość wzięła górę nad strachem.

Rozejrzałem się po moich towarzyszach w wagonie. Nasza grupa składała się z około dwudziestu sześciu lekarzy, sześciu farmaceutów, sześciu kobiet, naszych dzieci oraz kilku osób starszych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, naszych rodziców i krewnych. Siedząc na bagażach lub na podłodze wagonu, wyglądali na zmęczonych i apatycznych, a ich twarze zdradzały pewnego rodzaju złe przeczucie, którego nie była w stanie rozproszyc nawet radość z naszego przybycia. Kiloro dzieci spało. Inne siedziały, przeżuując resztki jedzenia, które nam pozostały. A reszta, nie znajdując nic do jedzenia, na próżno próbowała zwilżyć wyschnięte usta suchymi językami.

Ciężkie kroki chrzęściły na piasku. Okrzyki rozkazów przerwały monotonię oczekiwania. Plomby na wagonach zostały zerwane. Drzwi powoli się otworzyły i już słyszeliśmy, jak wydają nam rozkazy. „Wszyscy wysiadają i zabierają ze sobą bagaż podręczny. Cały ciężki bagaż zostawcie w wagonach”.

Wyskoczyliśmy na ziemię, po czym odwróciliśmy się, by wziąć nasze żony i dzieci w ramiona i pomóc im zejść, ponieważ poziom wagonów znajdował się ponad cztery i pół stopy nad ziemią. Strażnicy kazali nam ustawić się w szeregu wzdłuż torów. Przed nami stał młody oficer SS, nienaganny w swoim mundurze, ze złotą rozetą zdobiącą klapę marynarki i elegancko wypolerowanymi butami. Chociaż nie znałem różnych stopni SS, po opasce na ramieniu domyśliłem się, że był lekarzem. Później dowiedziałem się, że był szefem grupy SS, nazywał się dr Mengele i że był głównym lekarzem obozu koncentracyjnego Auschwitz. Jako „selekcjoner medyczny” obozu był obecny przy przyjeździe każdego pociągu. W dalszych chwilach doświadczyliśmy

pewnych etapów tego, co w Auschwitz nazywano „selekcją”. Jeśli chodzi o kolejne etapy, każdy przeżył je zgodnie ze swoim losem.

Na początek SS szybko podzieliło nas według płci, pozostawiając wszystkie dzieci poniżej czternastego roku życia z matkami. Tak więc nasza niegdyś zjednoczona grupa została natychmiast podzielona na dwie części. Ogarnęło nas uczucie przerażenia. Jednak strażnicy odpowiadali na nasze pełne niepokoju pytania w ojcowski, niemal dobronuduszy sposób. Nie było się czym martwić. Zabiorą nas na kąpiel i dezynfekcję, zgodnie z obyczajem. Potem wszyscy mieliśmy ponownie połączyć się z naszymi rodzinami.

Kiedy sortowali nas do transportu, miałem okazję rozejrzeć się dookoła. W świetle gasnącego słońca obraz, który wcześniej dostrzegłem przez szczelinę w wagonie, zmienił się, stał się bardziej niesamowity i groźny. Jedną rzecz natychmiast przykuła moją uwagę: ogromny kwadratowy komin, zbudowany z czerwonych cegieł, zwężający się ku szczytowi. Górował nad dwupiętrowym budynkiem i wyglądał jak dziwny komin fabryczny. Szczególne wrażenie wywarły na mnie ogromne języki płomieni unoszące się między piorunochronami, które były ustawione pod kątem na kwadratowych szczytach komina. Próbowałem sobie wyobrazić, jakie piekielne gotowanie wymagałoby tak potężnego ognia. Nagle zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w Niemczech, kraju pieców krematoryjnych. Spędziłem w tym kraju dziesięć lat, najpierw jako student, później jako lekarz, i wiedziałem, że nawet najmniejsze miasto ma swoje krematorium.

Tak więc „fabryka” była krematorium. Nieco dalej zobaczyłem drugi budynek z kominem; potem, niemal ukryty w zaroślach, trzeci, z którego kominy wyrzucały te same płomienie. Lekki wiatr niósł dym w moją stronę. Mój nos, a potem gardło, wypełniły się mdłym zapachem palonego ciała i spalonych włosów. — Było mnóstwo powodów do przemyśleń. Tymczasem rozpoczęła się druga faza selekcji. W pojedynczej kolejce mężczyźni, kobiety, dzieci i osoby starsze musiały przejść przed komisję selekcyjną.

Dr Mengele, medyczny „selekcjoner”, dał znak. Ustawiono nas ponownie w dwóch grupach. W lewej kolumnie znaleźli się starcy, kalecy, słabi oraz kobiety z dziećmi poniżej czternastego roku życia. Prawa kolumna składała się wyłącznie ze sprawnych fizycznie mężczyzn i kobiet: tych zdolnych do pracy. W tej ostatniej grupie dostrzegłem

moją żonę i czternastoletnią córkę. Nie mieliśmy już możliwości porozumiewania się; jedyne, co mogliśmy robić, to dawać sobie znaki.

Osoby zbyt chore, by iść, osoby starsze i chore psychicznie załadowano do samochodów Czerwonego Krzyża. Niektórzy starsi lekarze z mojej grupy zapytali, czy oni również mogą wsiąść do tych wozów. Samochody odjechały, po czym grupa po lewej stronie, w pięciu rzędach, otoczona strażnikami SS, ruszyła. Po kilku minutach zniknęli z pola widzenia, zasłonięci przez gęsty las.

Kolumna po prawej stronie nie ruszyła się z miejsca. Dr Mengele nakazał wszystkim lekarzom wystąpić naprzód; następnie podszedł do nowej grupy, złożonej z około pięćdziesięciu lekarzy i poprosił tych, którzy studiowali na niemieckim uniwersytecie, posiadających gruntowną wiedzę z zakresu patologii i praktykę w medycynie sądowej, aby wystąpili do przodu. „Bądźcie bardzo ostrożni” – dodał. „Musicie sprostać temu zadaniu, bo jeśli nie...”, a jego groźny gest nie pozostawiał wiele miejsca na domysły. Spojrzałem na moich towarzyszy. Być może byli onieśmieleni. Co z tego! Podjąłem już decyzję.

Wyszedłem z szeregu i zgłosiłem się. Dr Mengele długo mnie przesłuchiwał, pytając, gdzie studiowałem, jak nazywają się moi profesorowie patologii, w jaki sposób zdobyłem wiedzę z zakresu medycyny sądowej, jak długo praktykowałem itp. Najwyraźniej moje odpowiedzi były zadowalające, ponieważ natychmiast oddzielił mnie od pozostałych i nakazał moim kolegom powrót na miejsca. Na razie zostali oszczędzeni. Muszę bowiem teraz wyjawic prawdę, o której wtedy nie wiedziałem, a mianowicie, że grupa po lewej stronie oraz ci, którzy odjechali samochodami, kilka chwil później przeszli przez drzwi krematorium. Z którego nikt nigdy nie wrócił.

II

Stojąc sam, nieco z boku od pozostałych, zacząłem rozmyślać o dziwnych i przewrotnych drogach losu, a dokładniej o Niemczech, gdzie spędziłem jedno z najszcześniejszych lat mojego życia.

Teraz nad moją głową niebo rozświecwały gwiazdy, a delikatna wieczorna bryza byłaby orzeźwiająca, gdyby od czasu do czasu nie niosła ze sobą zapachu ciał palonych w krematoriach III Rzeszy.

Setki reflektorów zawieszonych na szczytach betonowych filarów świeciły oślepiającym blaskiem. A jednak za łańcuchem świateł wydawało się, że powietrze stało się cięższe, otulając obóz gęstą zasłoną, przez którą prześwitywały jedynie rozmazane sylwetki baraków.

W tym momencie wagony były już puste. Przybyli mężczyźni w więziennych strojach, wyładowali ciężki bagaż, który zostawiliśmy, a następnie załadowali go na czekające ciężarówki. W zapadającym zmroku czterdzieści wagonów towarowych powoli znikało, aż w końcu całkowicie wtopiły się w otaczający krajobraz.

Dr Mengele, po wydaniu ostatnich rozkazów oddziałom SS, podszedł do swojego samochodu, usiadł za kierownicą i skinął, abym do niego dołączył. Usiadłem na tylnym siedzeniu obok młodszeo oficera SS i ruszyliśmy. Samochód szaleńczo podskakiwał po glinianych drogach obozu, które były wyboiste i pełne dziur po wiosennych deszczach. Jasne światła reflektorów migały obok nas, coraz szybciej i szybciej, a po chwili zatrzymaliśmy się przed opancerzoną bramą. Ze swojego stanowiska podbiegł strażnik SS, aby przepuścić ten znajomy samochód. Przejechaliśmy kilkaset metrów dalej główną drogą obozu, która po obu stronach była otoczona barakami, a potem zatrzymaliśmy się ponownie przed budynkiem, który był w lepszym stanie niż pozostałe. Tabliczka przy wejściu informowała mnie, że to „Biuro Obozu”.

W środku kilka osób o głębokich, inteligentnych oczach i szlachetnych twarzach, ubranych w mundury więźniów, siedziało przy biurkach i pracowało. Natychmiast

wstali i stanęli na baczność. Dr Mengele podszedł do jednego z nich, mężczyzny około pięćdziesiątki, który miał całkowicie ogoloną głowę. Ponieważ stałem kilka kroków za Obersturmführerem, nie mogłem usłyszeć, o czym rozmawiają. Dr Sentkeller, więzień i, jak się później dowiedziałem, lekarz obozu F, skinął głową na znak zgody. Na jego prośbę podszedłem do biurka innego więźnia. Urzędnik poszukał jakichś akt, a następnie zadał mi kilka pytań, zapisał odpowiedzi zarówno na karcie, jak i w dużej księdze, po czym wręczył kartę strażnikowi SS. Następnie opuściliśmy pomieszczenie. Przechodząc obok doktora Mengele, skłoniłem się lekko. Widząc to, dr Sentkeller nie mógł powstrzymać się od podniesienia głosu i zauważył, raczej ironicznie niż ze złą intencją, że takie uprzejmości nie są tu w zwyczaju i że dobrze byłoby nie udawać człowieka świata w KZ.

Strażnik zaprowadził mnie do innego baraku, na wejściu, do którego widniał napis: „Łaźnie i dezynfekcja”, gdzie mnie wraz z kartą przekazano kolejnemu strażnikowi. Podszedł do mnie więzień, zabrał moją torbę lekarską, a następnie przeszukał mnie i kazał mi się rozebrać. Przyszedł fryzjer i ogolił najpierw moją głowę, a potem resztę ciała, po czym wysłał mnie pod prysznic. Wcierali mi w głowę roztwór chlorku wapnia, który tak mocno piekł w oczy, że przez kilka minut nie mogłem ich otworzyć. W innym pomieszczeniu moje ubrania wymieniono na ciężką, prawie nową kurtkę i parę spodni w paski. Zwrócono mi buty po zanurzeniu ich w zbiorniku zawierającym ten sam roztwór chlorku wapnia. Przymierzyłem nowe ubrania i stwierdziłem, że całkiem dobrze na mnie pasują. (Zastanawiałem się, jaki biedak nosił je przede mną.) Zanim jednak zdążyłem się nad tym głębiej zastanowić, inny więzień podciągnął mi lewy rękaw i, sprawdzając numer na mojej karcie, zaczął zręcznie wykonywać serię małych tatuaży na moim ramieniu, używając przyrządu wypełnionego niebieskim tuszem. Niemal natychmiast pojawiło się kilka małych, niebieskawych plamek.

– Twoje ramię trochę spuchnie –uprzedził mnie – ale za tydzień ból zniknie, a numer będzie wyraźny. W ten sposób ja, dr Miklos Nyiszli, przestałem istnieć; odtąd będę po prostu więźniem obozu koncentracyjnego numer A 8450.

Nagle przypomniała mi się inna scena; piętnaście lat wcześniej rektor Wydziału Medycznego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu uścisnął mi dłoń i życzył

mi wspaniałej przyszłości, wręczając mi dyplom „z gratulacjami komisji egzaminacyjnej”.

III

Na razie moja sytuacja była znośna. Dr Mengele oczekiwał ode mnie wykonywania obowiązków lekarza. Prawdopodobnie zostanę wysłany do jakiegoś niemieckiego miasta jako zastępcę niemieckiego lekarza, który został powołany do służby wojskowej, a do jego obowiązków należała patologia i medycyna sądowa. Ponadto napełniał mnie nadzieją fakt, że zgodnie z rozkazem dr. Mengele nie wydano mi więziennej szaty z juty, lecz doskonały garnitur cywilny.

Była już północ, ale ciekawość nie pozwalała mi poczuć zmęczenia. Uważnie słuchałem każdego słowa naczelnika baraku. Znał on całą organizację obozu koncentracyjnego, nazwiska dowódców SS w każdej sekcji obozu, a także nazwiska więźniów zajmujących ważne stanowiska. Dowiedziałem się, że obóz koncentracyjny Auschwitz nie był obozem pracy, ale największym obozem zagłady w III Rzeszy. Opowiedział mi również o „selekcjach”, które odbywały się codziennie w szpitalach i barakach. Setki więźniów codziennie ładowano na ciężarówki i przewożono do krematoriów, oddalonych o zaledwie kilkaset metrów.

Z jego opowieści dowiedziałem się o życiu w barakach. W piętrowo ułożonych przedziałach każdego baraku słoczono od ośmiuset do tysiąca osób. Nie mogąc się w pełni wyciągnąć, spali tam zarówno wzdłuż, jak i w poprzek, z nogami jednego człowieka na głowie, szyi lub klatce piersiowej innego. Pozbawieni wszelkiej godności ludzkiej przepychali się, szarpali, gryźli i kopali nawzajem, próbując zdobyć kilka centymetrów miejsca więcej, by spać nieco wygodniej. Nie mieli bowiem zbyt wiele czasu na sen: pobudka rozbrzmiewała o trzeciej nad ranem. Następnie strażnicy, uzbrojeni w gumowe pałki, wypędzali więźniów z ich „łóżek”. Wciąż na wpół śpiący, wylewali się z baraków, przepychając się łokciami i natychmiast ustawiali się w szeregu na zewnątrz. Wtedy zaczynała się najbardziej nieludzka część programu obozu: apel.

Więźniowie stali w rzędach po pięciu. Porządkowi ustawiali ich w kolejności. Przewodniczący baraku ustawił ich według wzrostu, wyżsi z przodu, a niżsi z tyłu. Potem pojawił się kolejny strażnik, pełniący tego dnia dyżur w sekcji, który, wymachując pięściami, odepchnął wyższych mężczyzn do tyłu, a niższych wysunął na przód. W końcu przybył dowódca baraku, dobrze ubrany i dobrze odżywiony.

On również miał na sobie więzienny strój, ale jego mundur był czysty i starannie wyprasowany. Zatrzymał się i wyniosłym wzrokiem przebiegł po szeregach, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Oczywiście nie było, więc zaczął wymachiwać zaciśniętymi pięściami w kierunku tych w pierwszym rzędzie, którzy nosili okulary, i przepychał ich do tylnego rzędu. Dlaczego? Nikt nie wiedział. W rzeczywistości nawet się nad tym nie zastanawiano, bo to był KZ i nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, by szukać rozsądnego wyjaśnienia dla takich czynów.

Ta zabawa trwała kilka godzin. Liczyli rzędy mężczyzn ponad piętnaście razy, od przodu do tyłu i z powrotem, oraz w każdym innym możliwym kierunku, jaki tylko mogli wymyślić. Jeśli rząd nie był prosty, cała barakowa grupa musiała kucać przez godzinę, z rękami uniesionymi nad głowami, a nogi drżały im ze zmęczenia i zimna. Bo nawet latem poranki w Auschwitz były zimne, a cienka płócienna odzież więźniów stanowiła skromną ochronę przed deszczem i chłodem. Jednak zarówno zimą, jak i latem apel rozpoczynał się o 3:00 rano i kończył o 7:00, kiedy przebywali oficerowie SS.

Przewodniczący baraku, służący sługus SS, był zazwyczaj przestępcą pospolicym, którego zielone insygnia odróżniały go od pozostałych więźniów. Stawał na baczność i składał raport podając liczbę mężczyzn pod jego dowództwem. Następnie przyszła kolej na SS, aby dokonać inspekcji szeregów: liczyli kolumny i zapisywali liczby w swoich notesach. Jeśli w barakach byli zmarli — a zazwyczaj było ich pięciu lub sześciu dziennie, czasem nawet dziesięciu — oni również musieli być obecni podczas inspekcji. I to nie tylko obecni z nazwy, ale fizycznie obecni, stojący, zupełnie nadzy, podtrzymywani przez dwóch żywych więźniów, aż do zakończenia apelu. Bo, żywi czy martwi, wymagana liczba więźniów musiała być obecna i policzona.

Czasami zdarzało się, że gdy byli przepracowani, komando, którego zadaniem było transportowanie zmarłych na taczkach, nie przechodziło przez kilka dni. Wtedy zmarłych trzeba było przyprowadzać na każdą inspekcję, aż w końcu przybywało

komando transportowe, aby się nimi zająć. Dopiero wtedy ich nazwiska były skreślane z listy apelowej.

Po tym wszystkim, czego się dowiedziałem, nie żałowałem, że postąpiłem odważnie i próbowałem poprawić swój los. Dzięki temu, że już pierwszego dnia zostałem wybrany do pracy jako lekarz, udało mi się uniknąć losu zagubienia w tłumie i utonięcia w brudzie obozu kwarantanny¹.

Dzięki mojemu cywilnemu ubraniu udało mi się zachować ludzki wygląd, a tej nocy miałem spać na łóżku w ambulatorium dwunastego baraku „szpitalnego”.

O siódmej rano: pobudka. Lekarze z mojej sekcji, a także personel szpitala, ustawili się w szeregu przed barakiem, aby zostać policzeni. Zajęło to około dwóch lub trzech minut. Policzyli również osoby przykute do łóżek, a także zmarłych z poprzedniej nocy. Tutaj również zmarli leżeli obok żywych.

Podczas śniadania, które jedliśmy w naszych pokojach, spotkałem moich kolegów. Głównym lekarzem szpitala barakowego nr 12 był dr Levy, profesor Uniwersytetu w Strasburgu; jego współpracownikiem był dr Gras, profesor Uniwersytetu w Zagrzebiu; obaj byli znakomitymi praktykami, znanymi w całej Europie ze swoich umiejętności.

Praktycznie bez lekarstw, pracując z wadliwymi narzędziami i w otoczeniu, w którym brakowało najbardziej podstawowych środków aseptycznych i antyseptycznych, nie zważając na swoją osobistą tragedię, nieświadomi zmęczenia i niebezpieczeństwa, robili wszystko, co w ich mocy, aby opiekować się chorymi i łagodzić cierpienia swoich bliźnich.

W obozie Auschwitz nawet najzdrowsza osoba miała trzy lub cztery tygodnie, by załamać się z głodu, brudu, bicia i nieludzkiej pracy. Jak opisać stan tych, którzy byli już chorzy organicznie, gdy dotarli do obozu? W okolicznościach, w których trudno było zapomnieć, że jest się człowiekiem, a do tego lekarzem, wykonywali swój zawód z całkowitym oddaniem. Ich przykładem wiernie podążał podległy korpus medyczny w skład którego wchodziło sześciu lekarzy. Wszyscy byli młodymi lekarzami francuskimi lub greckimi. Przez trzy lata jedli chleb obozowy z dzikich kasztanów, posypany trocinami. Ich żony, dzieci, krewni i przyjaciele zostali zlikwidowani zaraz po przybyciu. A raczej spaleni. Jeśli przez przypadek trafili do prawej kolumny, nie

byli w stanie wytrzymać tej męki dłużej niż dwa lub trzy miesiące i jako „wybrani” zniknęli w płomieniach.

Ogarnięci rozpaczą, zrezygnowani, apatyczni, mimo to starali się z największym oddaniem pomagać żywym trupom, których los leżał w ich rękach. Bo więźniowie tego szpitala *byli* żywymi trupami. Trzeba było być poważnie chorym, by trafić do szpitala obozowego. W większości były to chodzące szkielety: odwodnieni, wychudzeni, z popękkanymi ustami, ich twarze były opuchnięte, a oni cierpieli na nieuleczalną czerwonek. Ich ciała pokrywały ogromne i odrażające sączące się rany oraz ropiejące wrzody. Tacy byli chorzy z KZ. Tymi właśnie należało się opiekować i pocieszać.

¹ Obóz kwarantanny był tym obszarem, do którego najpierw wysyłano więźniów wybranych do prawej kolumny. Trzymano ich tam, dopóki zostali wykąpani, zdezynfekowani i ogoleni, a swoje cywilne ubrania zamienili na więzienne worki. Później zostali wysłani do różnych sekcji obozu. — Tr.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

